Tom XI. Nr. 9.

21. września 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O Jerzym Kulczyckim.

Nie znaleźć już pono takiego, coby nie wiedział, jak to nasz król Jan III Sobieski wyswobodził Wiedeń i Niemcy od pogan tureckich. Każdy już o tem słyszał z opowiadania ludzi, co się na książkach znają, a kto sobie trzymał i czytał uważnie Dzwonek, ten już o tej wyprawie wiedeńskiej wie wszystko dokumentnie, bo tam przed niedawnym czasem wypisane było o tem, jak się patrzy.

Ale nie wszyscy za to wiedzą o pewnym zuchu Polaku, co przy tej samej okazyi oddał także wielkie usługi Niemcom i Chrześciaństwu. Tym Polakiem był Jerzy Kulczycki, o którym wam tu chcę po troszę rozpowiedzieć.

Jerzy Kulczycki urodził się pod Samborem we wsi, co się też zwała nie inaczej, jeno Kulczyce. Ojciec Jerzego nie był ci wcale bogaty, bo miał tylko maleńką szmatkę gruntu, i domek stary po dziadach. Toć i nie dziw, że nie było tam w czem opływać całemu rodzeństwu. Wiedział o tem najlepiej nasz

Jerzy Kulczycki, bo skoro urosł w chłopa, tak zaraz przemyśliwał sobie nad tem, jakby to uczciwą pracą i starunkiem zarobić sobie kęs chleba i trochę grosiwa, a nie być ubogiemu ojcu i rodzeństwu ciężarem. A że Jerzy nie dla tego nosił głowę na karku, aby było na co zasadzić kapelusz, a do tego jeszcze był takim walnym zuchem, że i samego djabła byłby się nigdy nie przestraszył, więc też nie wiele myśląc puścił się w świat za oczy, kędy go nogi poniosły.

Powiadają ludzie, że dla człeka cały świat otworem. Cóż dopiero dla takiego chwata i mądrala jakim był Jerzy Kulczycki! To też jak rozpuścił nogi, jak nie powędrował z innymi ludźmi w świat daleki — to o czem drugi do śmierci ani słyszeć nie będzie, to on na własne oczy oglądał.

I tak pojechał sobie Kulczycki z rozmaitymi kupcami, co za towarem wędrowali, aż do ziemi pogańskiej, do Turka, i tam długi czas przepędził, handlując z nimi, co mu już nawet z trudna nie przychodziło, bo się nauczył ich mowy na wylot.

Wędrując tak po szerokim świecie, zawędrował Kulczycki potem między Niemcy, do samego Wiednia. A było to właśnie w onym czasie, kiedy Turcy wojowali z cesarzem niemieckim i wybrali się z okrutnem wojskiem w chrześciańskie kraje.

Kulczycki miał rozmaite interesa w Wiedniu, więc też tam dłużej pozostawał, aż tu naraz okropna chmura Turków podeszła pod Wiedeń i otoczyła to wielkie miasto do kolusieneńka. Sam cesarz musiał uciekać przed tą plagą pogańską i zostawił jeno trochę wojska w Wiedniu pod starszym jenerałem, co się zwał Sztaremberg.

Ale cóż tam znaczyła garstka Chrześcian przeciw takiej hurmie Turków! Trzymali się tam Niemcy co mogli i ratowali się z całej siły, ale z każdym dniem było gorzej, głód i zaraza w mieście powstały, wojsko wyginęło i strach był okropny! I gdyby był nie przyszedł w pomoc nasz dzielny król polski Jan III Sobieski z swymi walecznymi wojakami i nie rozpędził plugawego pogaństwa na cztery końce świata, już by nie było słychu o Wiedniu, a tam kędy krzyże pańskie sterczały na kościołach świętych, byłby poganin pobudował swe bożnice i meczety z kretesem.

Nim jeszcze Polacy z królem swoim przylecieli na pomoc jak święci Anieli z nieba — była jak już mówiłem, wielka nędza i trwoga w Wiedniu. Niemcy już nie wiedzieli, co mają robić i już prawie chcieli się poddać tureckiemu pogaństwu. Spodziewali się oni tam ratunku, ale nie wiedzieli kiedy nadejdzie — a tu ani rusz dalej wytrzymać od głodu, moru, kul tureckich i wszelakiej nędzy!

W takiem tedy strasznem nieszczęściu chciał się dowiedzieć wódz nad wojskami niemieckiemi Sztaremberg, czy też już nadchodzi jaki ratunek, czy nie, aby już raz wiedzieć, co sobie począć w takim gniewie bożym. Wysyłał tedy po nocach po za mury miejskie rozmaitych ludzi, aby się dowiadywali, czy nie nadciąga wojsko cesarskie albo polskie w pomoc. Ale trudna rada! Co wyszlą jakiego człowieka z Wiednia, to go Turcy zaraz pod miastem złapią i powieszą na szubienicy. I już moc takich biedaków nawywieszali poganie, tak że już w całym Wiedniu nie było ani jednego Niemca, coby się był odważył wyjść za mury na zwiady i wypytywać się o ratunek. Prosi więc niemiecki jenerał Sztaremberg i prosi, błaga i zaklina — ale nikt a nikt nie chce wyjść za miasto po nowiny.

Już się rozpacz chwytała Sztaremberga i myślał, że już ostatnia wybiła godzina, kiedy się o tem dowiedział Kulczycki, co jak już na górze stoi, był wtedy w Wiedniu i pomagał Niemcom bić Turków. Zaraz więc tak myśli sobie:

— A toć nie byłbym Polakiem i Chrześcianinem, gdybym się nie ofiarował za wiarę świętą! Kiedy już Niemcy dokazać tego nie potrafią, aby się dowiedzieć, czy idzie pomoc czy nie to ja tego dokażę!

Idzie więc tedy Kulczycki prosto do samego Sztaremberga i mówi:

— No i cóż, znaleźliście jakiego człowieka, coby się odważył pójść za miasto na zwiady?

— Oj nie! kochany człeku! — mówi na to Sztaremberg — w całym Wiedniu już takiego nie znajdzie, coby się na oczywistą śmierć ofiarował!

A Kulczycki na to:

— No to ja pójdę! Polak się śmierci nie lęka, gdzie idzie o wiarę świętą!

Okrutnie się zdziwował niemiecki starszy, że Kulczycki taki zuch odważny, i mówi:

— Ależ bo Turki was złapią i powieszą zaraz na haku!

— Powieszą to powieszą — rzecze na to Kulczycki — człek jeno raz umiera, a śmierć taka to u Boga zasługą. A zresztą bywał ja już nieraz między Turkami i potrafię ich zejść z beczki, a przecież głowę od parady na karku nie noszę. Dziś w nocy przyniosę wam nowiny, czy idą wam na pomoc, czy nie.

I nie dbając wiele poszedł do domu, aby się wybrać w drogę. A miał Kulczycki sługę wiernego, też Polaka, co się zwał Jurko Michałowicz, a był człek sprytny i tęgi jakich mało. Kazał więc temu słudze przebrać się po turecku i sam się też przebrał po takiemu, i kiedy noc czarna okryła ziemię, wysunął się Kulczycki z Jurkiem z Wiednia w obóz turecki.

Noc była ciemna, że oczy wykłuj, tylko w obozie tureckim gorzały ognie. A kędy tylko było spojrzeć — wszędzie bielały wśród nocy namioty tureckie i snuły się straże szeroko, daleko, aż gdzieś w ciemnościach ginęły.

A zaraz za miastem sterczały w górę szubienice, a na nich wisieli Niemcy, co wyszli z Wiednia na zwiady między Turków. Wiatr huczał i świstał, a trupy powieszonych Chrześcian kołysały się w powietrzu, że aż mrowie zbierać musiało każdego człowieka. Ale Kulczycki i jego towarzysz Jurko Michałowicz nie ulękli się ani wisielców ani Turków, jeno idą dalej śmiało, patrząc do koła, którędy by najlepiej przemknąć się pomiędzy pogańskie warty.

Kiedy tak ostrożnie posuwają się naprzód, w tem nadlatują naraz tureccy żołnierze. Zobaczyli oni Kulczyckiego i Jurka i z szablami rozpędzili się na obu.

— Stójcie! — zawołali poganie — coście za jedni i zkąd idziecie? Wy na pewno psy chrześciańskie, co chcecie wyszpiegować co się tu w obozie dzieje!

Inny toby był stracił do reszty głowę od strachu i ani pół słówka nie potrafiłby był przecedzić przez zęby, ale Kulczycki miał odważne serce i śmiało odpowiedział pogańcom:

— A cóż to wrzeszczycie i napastujecie wierne sługi Mahomeda Proroka (bo trza wam wiedzieć że tak siebie nazywają Turcy) i waszych dobrych przyjaciół?! Myśmy tacy Turcy jak i wy i jesteśmy kupcami.

— A czegoż w nocy po obozie chodzicie i to właśnie niedaleko murów wiedeńskich, tak jakbyście ztamtąd wyszli?

— Bośmy dopiero dziś wieczór nadjechali i chcemy się widzieć z którym ze starszych, bo mamy pilny interes — mówi na to odważnie Kulczycki.

— Ano to chodźcie do Agi (co znaczy tyle co pułkownik) ale jak się pokaże, że wy tu na zwiady przyszli to będziecie wisieć tak na haku, jak tamte psy chrześciańskie! — zawołali Turcy i pokazali na szubienice, gdzie wiatr szarpał ciałami trupów.

Nie tracąc odwagi poszli Kulczycki i Jurko z żołnierzami tureckimi do Agi. Aga okrutny brodacz turecki popatrzył się na nich srogo i zapytał strasznym głosem, czego szukają w obozie. Ale Kulczycki nie był takim gapiem co tylko huknąć z góry na niego i nastraszyć, a już ci straci głowę na karku a język w gębie. Kulczycki i jego sługa znali dokumentnie szwargotać po pogańsku, toć i łatwa sprawa była im zamydlać oczy poganinowi. Kulczycki zaczął poganinowi wykładać na rozum: że jest kupcem tureckim i przyjechał tu jeno dla tego, aby pogańskiemu wojsku dowozić wszelkiej żywności, i jak począł kręcić i kręcić, dogadywać i dogadywać, tak że Aga gotów był przysiądz na wszystko, jako ten Polak nie jest chrześcianinem tylko prawdziwy bisurmanin. Mówi więc Aga do Kulczyckiego.

— A no to niech was prorok Mahomet strzeże, idzcie sobie spokojnie, a dajcie pozór, abyście gdzie nie wpadli między chrześciańskie wojsko.

— Jakto? — mówi na to niby zastraszony Kulczycki udając Turka — to nadchodzą może jakie chrześciańskie wojska?

— A jużci — odpowiada Aga; — ciągnie tutaj trochę Niemców swoim na ratunek, ale już co najgorsza, to król polski Sobieski wali obcesem z okrutnem wojskiem, aby nas odpędzić od Wiednia, bo go o to bardzo upraszali Niemcy i nawet sam papież, co siedzi w Rzymie i jest najstarszą głową u Chrześcian.

Aż serce zastukało Kulczyckiemu z radości gdy usłyszał że król Sobieski idzie z Polakami na Turka. Ale się z tem nie wydawał przed Agą, jeno niby klął i wygadywał na chrześcian, jakby był z duszą i kośćmi poganinem.

Z wielką uciechą powrócił Kulczycki z swoim sługą do Wiednia i tam wszystkim rozpowiedział zaraz radośną nowinę, że niezadługo przyjdzie nasz król waleczny Sobieski z hurmą polskich wojaków i wytłucze Turków do łapy.

Już wam nie potrzebuję powiadać, jak się okrutnie ucieszył Wiedeń i jak honorował Kulczyckiego za to, że nieważąc sobie własnego życia, nie bał się pójść po nowinę między Turków.

Niezadługo też nadleciał król Jan III z polskiem wojskiem, rzucił się jak piorun Boży na pogańskie plugastwo i zmiótł je z ziemi chrześciańskiej jakby wicher plewę. Oj! gdyby nie król Sobieski i nasi polscy rycerzy, możeby i nie było śladu po Niemcach, a możeby byli pogani i wiarę świętą wytępili. Ale Polacy tak zgnietli żmyję pogańską, że od tego czasu już ani łba nie wyściubiła z swojej jamy.

Kiedy się już uspokoiło w Wiedniu, zawołali najstarsi Niemcy Kulczyckiego, dziękowali mu po tysiąc razy najpiękniej za jego przysługę i nalegali koniecznie, aby jaką nagrodę przyjął. Kulczycki z razu nie chciał, ale gdy go strasznie o to prosili, tak im powiedział:

— Kiedy idzie o dobrą sprawę, to żaden Polak za swoje usługi a nawet za krew swoją nie bierze zapłaty. Ale kiedy już chcecie koniecznie, to jeno darujcie mi dom murowany w Wiedniu i pozwólcie abym sobie z obozu, co go uciekając zostawili Turcy, wziął owe worki z zielonem ziarnem, co to twarde jak kamień, a takie prawie wielkie jak fasola.

— A toć my to widzieli — prawią Niemcy — ale nie wiemy coby to było, ale jeżeli chcesz, to sobie weź tego kupę.

Ale choć Niemcy nie wiedzieli coby to było za ziarno, i co z niego zrobić można, to za to wiedział Kulczycki bo się napatrzył na to między Turkami. Boć nic to innego nie było, jeno kawa co ją Turcy już wtedy używali, zaś u nas była całkiem nieznana.

Zabrał sobie tedy Kulczycki worki z ziarnem kawiannem i w tym murowanym domu urządził sobie gospodę, a przyprawiając kawę traktował nią Niemców. Niemcy pili aż im w brzuchu pluskało i płacili za to setnie Kulczyckiemu, to też i dobrze mu się wiodło.

I od tego czasu poczęli ludzie pijać kawę coraz bardziej, a dziś to już ten napój na całym świecie przyszedł w zwyczaj.

Taka to jest historya Jerzego Kulczyckiego, tego naszego rodaka dzielnego, co tak odważnie poratował Niemców w ich wielkiej potrzebie i dla wiary świętej nie ociągał się narazić na niebezpieczeństwo śmierci, za co niech mu będzie chwała na zawsze.

Wojtek ze Smolnicy.

SPIEWKA.

Chociaż moja chata
Nie jest tak bogata,
I rola uboga,
Przecież mi jest droga,
Drogą zawsze była
Bo ojców spuścizna;
A każdemu miła
Jest polska Ojczyzna!...

Cztery lata temu
Przyszedł do mnie Niemiec,
Z dalekiego świata
Prusak cudzoziemiec.
Nużże z żydkiem na mnie,
Dodawali rady,
Chcieli rolę kupić,
Mnie wygnać na dziady.

Ale żem się poznał
I krzyżem przeżegnał
Obu natrętników
Rychłom precz odegnał,
I przysiągłem sobie
Nie sprzedawać roli,
Dzieciom ją dotrzymać
Aż do bożej woli.

Nie mądrze zrobili
Tamci za Rzeszowem,
Nie mądrze i drudzy
Gdzieś tam za Brzozowem,
Co role — zagrody —
Wioski nawet śliczne
Przybłędom sprzedali,
Majątki dziedziczne....

Gdyby ich ojcowie
Teraz zmartwychwstali,
I przy grobach swoich
Dzieci nie zastali,
Toby na nich gorżko,
Gorżko zapłakali,
Że zagrody swoje,
W ręce obce dali!...

Józef z Woli.

Czcij ojca i matkę twoją!

Opowiedział xiądz Wojciech z Medyki.

Na Matkę Najświętszą Siewną tego roku szli ludzie pobożni kompaniami na odpust do cudownego miejsca Leżajska, aby się wyspowiadać szczerze i podziękować Bogu za wszystko dobre i złe na tym świecie tego roku, a prosić o lepsze czasy i o różne łaski dla duszy. Otóż i ze wsi Tarłówki szła sobie taka kompania na ten odpust rozumie się z krzyżem na przodzie, chorągwiami i obrazem Najświętszej Panny, a pobożny Marcin Świątek szedł na przodzie z xiążką w ręku i zaczynał spiewać pobożne pieśni i przepowiadał na głos każde słowo, a kompania cała spiewała za nim bez myłki i przekręcania. Koło tego gazdy szło dwoje dzieci, jeden chłopaczek Antoś i jedna dziewczka Kasia z kantyczkami w ręku i wyśpiewywały cieniutkim głosikiem, co jeno zaczął pobożny gazda Swiątek. A gdzie oni przechodzili przez różne wsie z takiem spiewaniem, to ludzie pobożni wychodzili z chałup na podziwienie i gadali sobie:

— To pewnie śpiewa tak sam Ojciec, a to znowu muszą być jego dzieci — ale jak to się maleństwo wyuczyło zawczasu tak na książkach i kantyczkach czytać, że potrafią tak pięknie śpiewać? a patrzcie na kompanię całą, jak to prawie każdy trzyma sobie książkę przed sobą i śpiewa, aż się dusza raduje?

A pobożny Świątek gadał:

— Nie dziwcie się tak moi dobrzy ludzie! bo to u nas w szkole wsiowej wyuczył się prawie każdy na książce, kto jeno chciał — a komu się nie chciało przesiedzieć nad elementarzem bodaj w niedzielę i święto po południu, to ten nic za to nie umie i musi ucho nadstawiać, aby mógł co zaśpiewać.

I przyszła sobie ta kompania z Tarłówki w samą wilię Najświętszej Panny na nocleg do jednej wsi niedaleko Leżajska, ale nie nocowała ona w arendzie, jeno pomieściła się między ludźmi, a obraz i krzyż z chorągwiami poskładała pięknie w stodole czystej, tam przed spaniem odśpiewała „Kto

się w opiekę“ „Pod twoją obronę“ „Anioł pański“, i zostało kilku na warcie przy stodole, a drudzy porozchodzili się do różnych chałup na noc. A gazda Swiątek ciekawy zaszedł aż do wójta i tam zaczął sobie rozgadywać to o tem, to o owem, to o deszczu i wylewie wody, o szkodach wielkich przez te deszcze, aż mu wójt zaczął opowiadać historyę dziwną, co to się porobiło w jego wsi z jednym chłopakiem niedobrym. Swiątek zwołał całą kompanię swoją, aby też i ona słyszała o tej historyi i powiada do wójta:

— No! proszę was panie wójcie! powiedźcie no teraz od początku do końca jeszcze raz tę całą historyę o tym niedobrym chłopaku aby też i moja kompania i małe dzieci słyszały dobrze o tem.

Wójt na to:

— Ta cóż tu gadać o tem, o czem wie już prawie cały świat a co zrobiło się z dopustu bożego? Ale wam opowiem dla waszej kompanii, aby też i w waszych, stronach wiedzieli, o tem ludzie i uważali sobie dobrze przykazanie boskie! „Czwarte czcij ojca i matkę twoją, abyś żył długo i dobrze ci się powodziło.“ — Otóż widzicie moi pobożni ludenkowie, że była tu w naszej wsi biedna baba, co sobie siedziała w biednej chałupinie tam nad stawkiem Sobka Wrony i to mego szwagra — i zarabiało to biedactwo po nocach we dworze i na plebanii, xiądz nasz pamiętał o tem i kazał jej co dzień przychodzić jeść w południe z czeladzią, a niejedna dziewka plebańska darowała temu biedactwu to stary fartuszek, to zapaskę, to koszulinę jaką już podartą, a znowu dostała na zimę stare bucięta z miłosierdzia od kogo na wsi i tak to marnota biedna żyło z dnia na dzień w płaczu, żalu biedzie o głodzie i chłodzie i byłoby już dawno zaginęło, gdy nie ratowali ludziska. Ale cóż na biedę wielką miała ona chłopaka a to hultaisko ani do roboty, ani na służbę, ani do kościoła — jakci go matka dała za pastucha na plebanię albo do jakiego gazdy, to on ci wygnał bydło na pole, sam usnął pod zbożem albo pod krzakiem jakim i spał sobie, a bydło chodziło sobie gdzie chciało — a jak go kto za to obił, to zaraz uciekał do chaty matczynej, tam się zamykał, a jak biedna matka przyszła

w nocy do domu to wtedy miała co słuchać do północka, tak to krzyczało i dokazywało z matką, że ta biedaczka przepłakała noc całą, rano zabrała się i poszła z domu. A to drabisko leżało na barłogu, aż znowu biedne matczysko przylazło w południe do dom i przyniosło mu zawsze w podołku co do zjedzenia.

A Marcin Świątek zagadał na to:

— Ale co matka, to matka dobra! jeszcze mu jeść przyniosła i z nim się dzieliła nawet tym kawałkiem chleba, co zarobiła lub gdzie wyprosiła. A jabym mu był nie dał nic jeść, a wziąłbym tęgiego kija, a dobrze go wyskrobał po plecach i pognał do roboty, ażby się za nim kurzyło.

A jakaś babusia z kompanii odezwała się:

— Ej! nie gadajcie tak — matka zawsze matką choćby dla najgorszego dziecka — ona będzie płakać i gryźć się z dzieckiem niedobrem, ale ją zaboli zawsze serce, a najgorsze dziecko przytuli do siebie, pożywi, okryje, ogarnie i wszystko mu w jednej chwili daruje i zapomni.

A wójt na to:

— To prawdę gadacie babusio! tak też robiła i ta biedaczka z tym swoim niezdarą Tomkiem. Ale jak on jej za to zapłacił, to aż strach przypominać, ale dostał i on też za swoje od Boga i to pono zaraz była kara boża za kilka dni.

— No! i cóż to się porobiło takiego? zapytali się wszyscy razem.

— A coby innego, gada wójt, jak znowu nie świeża bieda na gromadę. Bo to widzicie moi ludenkowie! trapiła się ta biedaczka z tym hultajem długi czas, karmiła to i okrywała, a on sobie wyrósł na czystego chłopaka, jak świeca, jeno mu o robocie ani gadaj, a matka cieszyła się nieboga i myślała, że będzie miała pociechę jaką — ale dałże jej pociechę raz w niedzielę po nieszporze — bo to miarkujcie sobie dobrze ona nieboga przybiegła do dom i zaczęła krzyczeć na niego za to, że taki hultaj i nieroba i pogroziła mu kijem, a ten drabisko złapał ten kij, wydarł jej z ręki i pono chciał ją

potrącić, a mówią, że i potrącił przez próg do sieni matkę. Ta zapłakana pobiegła na blebanię ze skargą, ale księdza nie było w domu i tak to ucichło jakoś aż do drugiego dnia. W tem ona przybiegła rano w poniedziałek na plebanię i lamenciła setnie, że się jej chłopak rozchorował, a tu każdy na nią krzyczy:

— A toć byście mieli rozum na starość babko! ta czego wy żałujecie takiego draba, co was nie słucha i trapi do śmierci? wy proście Boga, aby on już raz umarł i dał wam spokój święty.

— Ale co wy gadacie! rzecze ona, matka powinna tysiąc razy darować i wybaczyć swemu dziecku, a choćby go cały świat odtrącał od siebie, to matka nie! wie to Bóg najlepiej! a ja nie chciałabym, aby moje dziecko było potępione za mnię na tamtym świecie — kiedy on chory matka pierwsza ma ratować.

Ale jakoś ucichło dwa czy trzy dni, aż tu gadają ludzie, że Tomko nad stawkiem koło Sobka umiera już bo mu szyja cała spuchła jak konew, a prawa ręka leży taka gruba na pościeli, jak sam Tomek nieboraczysko, i że nie ma żadnej rady dla niego, że i ksiądz go już na śmierć przygotował i zaczęli tam i ludzie zazierać i nieśli mu w garneczkach to mleko, to barszczyk do jedzenia, ale on jeno stękał i jęczał, aż było słychać do trzeciej chałupy.

— A jemu co się stało w tę rękę i szyję? zapytali się wszyscy.

— Albo ja wiem co takiego, mówi wójt, dosyć że mu tej samej nocy, z niedzieli, kiedy on się poważył na matkę rękę podnieść, ta sama ręka zaczęła nagle puchnąć i puchła bez ustanku, aż mu strasznie i szyję i głowę rozniosło, że to koło czwartku pamiętam jak dzień dzisiejszy, nie było ani do człowieka podobne, a w drugą niedzielę umarło to i gadają ludzie, że w tę samą godzinę skonał, kiedy się z matką swarzył i pono ją ręką trącił.

Jak go chowali, to znowu dziwna rzecz; bo to widzicie zrobiliśmy w gromadzie trumnę strasznie wielką a ksiądz dał tarcicę, bo się przy nim ta Tomkowa matka żywiła i chowała,

i położyliśmy do trumny nieboszczyka Tomka, co miał taką głowę po śmierci jak nieprzymierzając ćwierć jaka, a rękę też okrutną i przykryliśmy wieko. Ksiądz kazał go przynieść na marach pod kościół do pokropienia, a nas jakie 6 chłopów chcieliśmy go na mary postawić a tu ani sposobu ruszyć trumnę z miejsca — zawołaliśmy do pomocy to Walka Burdę, to Jana Toporka, to parobków plebańskich i nuż dźwigać trumnę, aż nam kości trzeszczały, a trumna jak stała tak sobie stoi jakby przykuta; i darmo my się mordowali. W tem nadszedł i ksiądz i kazał nam brać trumnę, a tu ani rusz dźwignąć z miejsca.

— A to co znaczy? mówił xiądz potem zadumał się, i zawołał matkę zapłakaną i pyta się:

— A czyście wy matko podarowali waszemu Tomkowi ten grzech wielki, nim on skonał?

A matka mówiła:

— Toć ja się nie gniewam mój Jegomość na moje dziecko, alem do niego o tem nie gadała, bo on już od wtorku nie gadał nic, jeno przez pięć dni strasznie jęczał i tarzał się po słomie na ziemi.

A ksiądz jej mówił:

— To weźże matko i połóż rękę tę na trumnę, w której miałaś kij na Tomka a on ci kij wyrwał, i powiedz teraz głośno przy świadkach, że mu to darujesz, aby mu i Bóg darował.

I co jeno matka to zrobiła, wtedy ksiądz kazał nam brać trumnę i patrzcie się ludenkowie, że 4 chłopów dźwigło teraz trumnę, co ją pierwej i z miejsca nie można było ruszyć.

Aleśmy nieśli z wielkim strachem tę trumnę pod kościół. Cała wieś się zleciała na takie dziwy, a ksiądz wtedy powiedział kazanie o tem takie, że aż się z płaczu każdy zachodził i przykazał dzieciom wszystkim, aby wypełniały przykazanie boże: „Czwarte czcij ojca i matkę twoją, abyś żył długo i szczęśliwie na ziemi.“ A potem pochowaliśmy tego Tomka. No czy to nie oczywisty dopust boży?

A pobożny Swiątek i jego cała kompania zadumali się na to; nikt ani słowa nie gadał długo, potem zaś jeszcze roz-

mawiali o tej historyi, aż zaczęło się szarzyć na niebie, i jutrzenka się pokazała, toć kompania z Tarłówki wyruszyła dalej na odpust, tam opowiadała historyę straszną o niedobrym Tomku, wróciła do dom aż trzeciego dnia, a mnie opowiadał to wszystko ten sam Świątek i ja to podaję do Dzwonka, abyście i wy moi kochani o tem wiedzieli i dzieciom to opowiadali, aby one bały się Boga i słuchały i szanowały starego ojca i matkę.

Pisanie Jacentego z Magierowa

do Wojtka ze Smolnicy.

Już to mówmy co chcemy, to muszę taki wam wyznać mój kumie kochany, że mi się coś ckliwo robi wedle serca, kiedy ten list do was pisać zaczynam. Nie z jednej to strony, a już najwięcej od was Wojciechu miły nasłuchałem się ja dosyć wyrzutów, jakobym już całkiem o Dzwonku zapomniał, a inni już powiedzieli nawet, że o mnie już ani słychu ani dychu żem przepadł jak kamień w wodzie, i że się już Bóg wie za którą górą i rzeką obracam. Niech to zostanie między nami, ale Bogiem a prawdą powiedziawszy, tom po trochę sam sobie temu dłużen, chociaż nie tak znowu jak ludzie mówią, bo nikt nie wie niczyjego, a posądzić drugiego o lenistwo albo złe chęci to nie sztuka. Kto mnie zna, ten wie dobrze, że człek się do pracy nie leni, a kto wie, kędy się człek po świecie tyrał, temu nie potrzeba tłumaczyć, że nieraz tak się zdarzyło, że pióra i atramentu nie było, a wtedy mimo najlepsze chęci trudno było coś do Dzwonka napisać. I w tem właśnie był najgrubszy sęk, a ja powiem jeszcze, że w tym sęku nie było dziury, bo gdyby była dziura, toby nie było sęku.

A potem zmiarkujcie jeno kumie, że to był dzień roboczy a taka ciągła słota niesłychana jeszcze, niewidziana i niezapamiętana, to się niejednemu wbiła klinem w głowę, że ręce opuścił, i nietylko do pisania, ale do wszystkiego chętkę stracił. Bo chociaż tam Pan Bóg dał urodzaj nie zły, to trudno było

zebrać to z pola, i temu też nie tylko żniwa się opóźniły, ale i wiele bardzo się popsuło. Ale to wszystko mniejszy kłopot, bo daleko gorzej z tem, że się na przyszły rok nie najlepiej znaczy, a to z tej racyi, że trudno było do tego czasu coś zasiać, i temu też na przyszłoroczny urodzaj nie wielką sobie można robić nadzieję.

Ale bo też i ludzie już sobie rozebrali na tym chlebie, co im się tak obficie rodzi: ot na ten przykład nie dawno temu przyszedł dziad po żebrach do księdza w Żukowie, co sobie właśnie pod wieczór kurzył lulkę na ganku. Zaledwie ksiądz z daleka dziadowinę zobaczył, a jużci poszedł do izby i wyniósł mu spory kawał pytlowanego chleba ze serem; ale żebrak nawet i ręki po tę jałmużnę nie wyciągnął, jeno rzecze do księdza:

— Mam ci ja jegomościuniu drogi chleba dosyć, że mało mi się torby nie pourywają i temu też dziękuję wam bardzo za tę jałmużnę, ale żeby to jegomość dał mi tak paczkę tytoniu, albo kieliszek wódki, tobym się dopiero modlił do Pana Boga.

Na takie gadanie kazał ksiądz dziadowi zdjąć torby z chlebem, i zamknął go do osobnej komórki na dwa dni, gdzie mu nic jeść nie dał, jeno flaszkę z wódką i kapczuk z tytoniem postawił. Przez parę godzin to sobie dziadowina wódkę popijał i lulkę kurzył, ale jak mu się dobrze jeść zachciało, to zaklinał xiędza na wszystko, aby go jeno wypuścił, a już pewnikiem nigdy chlebem nie wzgardzi, a wódki i tytoniu to mu się nigdy zabagać nie będzie. Gdyby to się tak każdy ujął za darem bożym, toby pewnie tyle złego nie było na świecie, i Pan Bóg nie miał by racyi gniewać się na nas.

Widzę już naprzód, jak tu mi przerywacie kumie i mówicie:

— Dajcie spokój Jacenty, bo chcieliście nam powiedzieć, czemuście tak długo nie pisali, a zeszliście na co innego i wasze tłumaczenie wygląda jak ta gadka o cyganie co go się pytali dla czego złodziej wisi?

— Ba racya, fizyka — odpowiada cygan — dlaczego wisi? bo sznurek krótki, żeby sznurek był długi, to on by pewnie nie wisiał.

No niech i tak będzie przyjmuję od was i tę przymówkę, a choć mi to z jednej strony trochę markotno, to z drugiej strony cieszy mi to znowu nie mało, że bracia moi od kosy i pługa, co to czytają Dzwonek, stęsknili się trochę za mną, widać więc, że słowa moje, co mi płynęły prosto od serca, trafiały także i do ich serc, że człowiek nie zawsze rzucał grochem o ścianę, a żyć w pamięci tego ludku poczciwego, to już największa nagroda i pociecha dla człowieka, któryby dla niego nie tylko atramentu, ale i krwi swojej nie skąpił.

Jacenty z Magierowa.

RADY GOSPODARSKIE.

Buraki czyli ćwikła.

Korzeń buraków jest równie dla ludzi jak i dla bydła i trzody pożywnym pokarmem Czyście słyszeli, jaki jest główny pożytek z ćwikły białej? Robią z niej cukier. Cwikła ma liście duże; a te liście są wyborną paszą dla krów, które od niego dają dużo i dobrego mleka. Jest więc burak bardzo użyteczną rośliną tak dla każdego gospodarza, jak i dla każdej gospodyni; potrzeba zatem poznać, jak hodowany być powinien, aby jak najlepiej się udał. Buraki sprowadzono do nas z obcych krajów tak jak i ziemniaki, tylko prędzej od ziemniaków Ale jako żyto, pszenica, tatarka, proso i inne użyteczne rośliny z obcych krajów do nas sprowadzone już się przyswoiły, tak się przyswoił i burak i tak się przyswoi jeszcze niejedna użyteczna roślina, której dziś w naszym kraju nie znamy. Najlepiej się ćwikła udaje na gruntach gliniastych i na gruntach mocnych i niewilgotnych. Na zimnej i wilgotnej roli niszczeje. W ogrodach założonych choćby na lekkich gruntach, ale dobrze doprawionych, z zielsk wyczyszczonych, gnojem podsyconych, ćwikła także się pięknie obrodzi. W polu sadzić można ćwikłę zaraz po żniwach, zorać, aby się odleżała, potem na ś. Michał zradlić i uwlec, i przed samą zimą znowu zorać, składając zawsze po dwie skiby na kupę. Aby woda na roli nie stała, trzeba porobić przegony. Gdy tak spulchniona rola odpoczywa przez zimę aż do wiosny, doskonale skruszeje. Jeżeli ziemia jest czysta, można zaraz ćwikłę sadzić na wierzch skiby. Ale

jeżeli rola nie jest jeszcze czysta i pulchna, trzeba ją po zimie jeszcze raz w poprzek zradlić i uwlec. Przy sadzeniu ćwikły pamiętać tylko trzeba, aby nie sadzić głębiej ćwikły nad cal. Gdy nasienie wypuszcza, to gdzie więcej niż jedna roślinka czyli rozsada z ziarna wyrosła tam trzeba wszędzie powyrywać a po jednej tylko zostawić. Wyrwaną można wsadzić tam, gdzie nic nie zeszło, albo na próżnym zagonku w ogrodzie. Potem trzeba oczyścić rozsadę ze zielska i ziemię poruszać motyką, gdy się kilka razy zielsko wyniszczy sama tylko ćwikła się rozrasta i nad ziemię wystaje. Kiedy się już ćwikła bujnem pokryje liściem, można liście z brzegów obrywać i dawać krowom jako wyśmienitą paszę, a krowy dobrze doić będą. Nie trzeba tylko środkowego zrywać liścia. Gdy się ćwikła obrodzi, wydać może jeden morg 300, zwyczajnie zaś około 100 cetnarów. Możecie więc sobie wystawić, jak wielki mieć można pożytek z ćwikły, która jest wyborną paszą przez całą zimę dla maciórek, dla krów, dla wołów, dla trzody. Krowy od niej dużo mleka dają, owce dostają tłustej wełny, a maciórki dużo pokarmu dla jagniąt. Cukrowa ćwikła jest za słodka dla człowieka, a lepsza dla bydła i na cukier; czerwona jest smacznym i zdrowym dla człowieka pokarmem.

List do pisarza Dzwonka.

Ludka z Myślenic, ta pani, co dla was kochani bracia, pisze gazetę o rozmaitych ciekawościach ze szerokiego świata, taki list napisała do nas:

Mój łaskawy Panie pisarzu Dzwonka!

Bądźcie też tak dobry, i umieśćcie to moje pisanie, w Dzwonku, a to jako doniesienie, iżby ludkowie o tem wiedzieli, że „Nowiny ze świata“ nie wyszły na 15 września, i nie wyjdą aże da Pan Jezus doczekać na 15 października; ale to nie przez żadne nasze lenistwo, lub niedbałość o was ludku, uchowaj Boże, tylko że ten najstarszy pisarz Nowin co się zowie redaktor, musi jednomiesięczny areszt odsiadywać, — na który jak wam wiadomo jest od c. k. sądu za różne pisania w Nowinach skazany, — dla tego i Nowinki muszą poczekać. Ale za to będziemy wam później bardzo ładne w nich historye opisywać, jako to na 15 października już jest do druku przygotowana ładna historya pod tytułem „Nie zawsze wytrwa i serce“, i inne tem podobne ciekawości

A tymczasem zostańcie kochani Ludkowie, i Wy Panie Pisarzu Dzwonka z Panem Jezusem *Ludka z Myślenic.*

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.